Nr. 48 Poznań, dnia 29 Listopada 1908 r. Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Trzy rocznice.



Jak lampa, która dla braku paliwa się dopada, jeszcze raz roztlewa jasno, by za chwilę zgasnąć — tak i dogorywająca państwowość polska zdobyła się na ostatni jasny błysk, olśniewający świat swą świetnością i wspaniałością, gdy wysłała pod Wiedeń swe w żelazo okute hufce z królem — bohaterem na czele.

Od owej świetnej chwili dziejowej aż do zupełnego upadku Polski za czwartego Augusta nie cały minął wiek, a 113 lat starczyło, by imię Polski zniknęło z karty Europy zupełnie.

Rozpadła się monarchia, jedna z pierwszych ongi w Europie, a berło, które obcym rozkazywało narodom, wydarto z wypieszczonej ręki zniewieściałego Katarzyny pupila, straciło żywą moc i stało się przedmiotem, mającym wartość tylko archeologiczną.

Okropny, straszny był ten upadek. Nie był to bowiem tylko upadek państwa, lecz upadek narodu, który rozdarty waśniami partyjnemi, słaby wskutek zupełnej niemal indolencyi najszerszych warstw ludowych, stał się łupem sąsiadów, tyle wrażliwych na szerzący się jakoby „jakobinizm“ w łakomo zagrabianym kraju.

Naród, jako całość, nie pospieszył na ratunek tonącej ojczyźnie i tylko tak się mogło stać, że rozbiór Polski dokonał się prawie bez krwi rozlewu, bez poruszenia całej Europy, bez skutecznej interwencyi dyplomatycznej. Jedyna Turcya we własnym interesie wypowiedziała Rosyi wojnę i papież zaprotestował przeciwko rozbiorowi, nie uznał go ani wówczas, ani dotąd i pozostawił Polskę jedną i niepodzielną w brewiarzu.

Dopiero Kościuszkowskie wojny oznaczają przebudzenie się narodu. Niestety i one nie zdołały wywalczyć niepodległości ojczyźnie, lecz zdziałały wielką rzecz: w chatę polską wzniosły wielki ideał wolnej i niepodległej ojczyzny.

* * *

Na rwących nurtach wielkiej francuskiej rewolucyi wypłynął mąż, który niebawem żelazną stopę postawił na karku Europy. Wznosił i burzył trony, nowe granice wykreślał państwom, chwałą swego imienia niespożytego świat zapełniając.

Pod jego sztandary, pod sławne niezwyciężone orły napoleońskie spieszyła entuzyastyczna, patryotyczna młódź polska i rozsypywała swe kości bohaterskie po wszech krańcach starego świata. Z okrzykiem uniesienia ginął legionista, marł w złotych piaskach Egiptu i na żyznej włoskiej ziemi, w Hiszpanii pomagał gnębić bohaterski o wolność walczący naród, w San Domingo padał ofiarą żółtej febry i marzł w strasznych polach rosyjskich, pokrytych lodem i śniegiem. Ginął za cudzą sprawę, wierząc, że własnej służy, a z warg z ostatniem odetchnieniem, które Bogu należeć powinno, ulatywał okrzyk śmiertelny: Niech żyje cesarz!

Lecz nie darmo spłynęły rzeki bohaterskiej krwi. Nową sławą zagrzmiało imie Polaka w świecie, obce narody z uwielbieniem poczęły spozierać na hufce nasze, w których obozach była cała Polska. Bojownicy ci nieśmiertelną chwałą okryli naród swój i ojczyznę i pokazali swoim i obcym, że nie zmarniał w narodzie duch, że nie uschło ramię, którego czyny ongi wywyższyły pod gwiazdy ojczystą sławę...

To też gdy padł wielki Napoleon, a pułki polskie poszły w rozsypkę, nie powstała wprawdzie na nowo ojczyzna, lecz otrzymała pod berłem rosyjskiem konstytucyę, zadatek dalszego, pomyślniejszego rozwoju...

* * *

Niestety przewrotność wroga i własna narodu porywczość doprowadziła do wojny polsko-rosyjskiej 1830 i 31-go roku, do wojny, w której żołnierz cudów dokonywał waleczności, lecz która równocześnie ujawniła nieudolność wielkiej części wodzów.

Wojna ta, która widoków powodzenia pozbawioną nie była, skończyła się straszną klęską naszą. Na nowo ożywiły się drogi pełznące w lodowatą przestrzeń sybirską, na nowo suche zaskrzypiały szubieniczne drzewa, kołysząc na swych gałęziach okropny owoc — wiernych synów kraju...

Ucisk wszechwładny zapanował, wszelkie przywileje przedtem już gwałcone, teraz zniesiono zupełnie. Miejsce ich zajął knut... Tyciące osób skompromitowanych musiało rzucić domowe pielesze. Polska w Polsce jak gdyby wymarła.

W dalekiej Francyi skoncentrowały się wybitniejsze żywioły i marniały w bezpłodnych walkach partyjnych, oderwane od pnia ojczystego. One to wyhodowały myśl dalszych

powstań, która, obrócona w czyn, niewypowiedziane na naród nasz ściągnęła klęski, klęski, pod skutkami których do dziś dnia cierpimy.

* * *

W tych czasach wielkich walk i wielkich klęsk, ikarowych wzlotów i upadków żył wielki mąż i poeta. Wszystkie narodu bole i wszystkie jego nadzieje, wszystką radość i wszystkie krwawe jego i palące łzy we własną chłonął pierś i drgającemi dłońmi na nieśmiertelnej wygrał lutni.

Największy poeta polski, największy, najszlachetniejszy mąż narodu, największy duch i wódz, który niestrudzenie szedł przed błądzącym wśród puszczy bolu i zawodów narodem i krzepił pieśnią wiary mdlejącą ojczyznę...

Dziecięctwo jego sięgało w czasy naszej napoleońskiej chwały, wiek męski ból klęsk roku 31-go niezatarcie napiętnował, a jeszcze siwa głowa snuła wielkie dla ojczyzny plany, nim w konstantynopolskiej świetlicy legła pod śmierci ciosem...

To też, gdy lat temu kilkanaście stary Zygmunt z Waweiskiej wieżycy zagrzmiał na Polskę całą wieść, że z gościnnej francuskiej ziemicy niekoronowany król wraca po długiem wygnaniu na ojczyzny łono, cała Polska wyległa na ulice Krakowa, by przyjąć w swe serce święte wieszcza prochy...

Na Wawelu złożyły go zbożne ręce Polaków; obok królów-króla...

Niechaj tam spoczywa w swym majestacie wielki mocarz serc i ducha i niechaj z prochami jego nie miesza się proch niekrólewski... niechaj świętej ciszy katakumb nie płoszą pienia nowych pogrzebnych obrzędów!...

Nie oglądajcie się na stateczność, ale na pożytek ludzki, bo trwanie przy złem i szkodliwem nie czyni żadnego zalecenia statku męskiego, ale raczej upornym się być i głupim taki pokazuje, kto ze złego nie wychodzi, a z błota, w które wpadł, nie powstaje.

Piotr Skarga.

* * *

Ostra droga do sławy, a kto o nią stoi,
Ani oków, ani on i śmierci się boi,
Przyjdzie umrzeć każdemu, ale kto żelazem
Legł w posłudze koronnej, ten kwitnie zarazem;
Tego rydl i motyka z pamięcią nie grzebie,
Kto ręki nie szanuje i zdrowia w potrzebie.

Kasper Miaskowski.

Setna rocznica
zdobycia wąwozu Somo-Sierry
dnia 30-go listopada 1808 r.



Pułk gwardyi przybocznej t. zw. guidów Napoleona I.
Pułk guidów towarzyszył Napoleonowi I we wszystkich jego wyprawach i pełnił służbę w jego głównych kwaterach. Do pułku należeli najodważniejsi i najdzielniejsi strzelcy, którzy musieli służyć poprzednio w wojsku przynajmniej lat 10 i być nieposzlakowanego charakteru.

Wielki wojownik, Napoleon Bonaparte, gdzie tylko się pokazał wszędzie odnosił zwycięstwa. Z ubogiego szlachetki, z małego oficerka dosłużył on się generalstwa, potem wyniósł się na cesarza Francuzów (1804) i króla Włoch i zawojował pół świata.

Legiony polskie wiernie mu służyły, a Polacy wołali:

— Ze zwycięskiemi siłami francuskiemi i nasz Orzeł polski poleci do Polski!

W rocznikach „Pracy“ z 1906-go i 1907-go r. w artykułach p. t. „Z dziejów upadku Prus“ zamieściliśmy szereg wspomnień historycznych, opisujących świetne zwycięztwa „wielkiego cesarza,“ odniesione nad Prusakami, którym wypowiedział wojnę i zbił ich na „kwaśne jabłko“ pod **Jeną**, pod **Auerstaedt**, a później pod **Iławą Pruską** i pod **Friedlandem.**

Gdy Prusacy uciekali przed Napoleonem w wielkim popłochu po klęsce pod Jeną i Auerstaedt i poddawali fortece, on wszedł do Berlina, potem do ziem polskich. Zaraz za nim wkroczył Dąbrowski na czele Legionów do Wielkopolski.

Co za radość zapanowała w Poznaniu i Warszawie na widok powracających wojsk polskich! Przed dzielną jazdą polską klękał lud na kolana, całował ręce rycerskich obrońców, po ulicach grały wesoło bojowe trąbki i rozlegały się ochocze głosy nawoływań:

— Do broni! Do szeregów! Nadeszła pora wyswobodzenia drogiej Ojczyzny!

I kto tylko czuł się na siłach, chwytał za broń i stawał w szeregi, przez co zwiększyły się bardzo hufce polskiego wojska. Sam Napoleon, przyjmowany w ziemiach polskich z niesłychanym zapałem, jak bóstwo jakie, zabawił dłuższy czas w Poznaniu, a stąd przybył do Warszawy (17-go grudnia 1806 roku).

Po świetnych zwycięstwach, jakie odniósł Napoleon nad Rosyanami, z którymi połączyły się niedobitki Prus, pod **Pułtuskiem** (26-go grudnia 1806), pod **Iławą Pruską** (Preussisch-Eylau), gdzie dwa dni trwała mordercza bitwa (8-go lutego 1807 r.) i pod **Friedlandem** (14-go czerwca 1807 r.), zdawało się, iż Polacy przejdą już za rzekę Niemen. Tymczasem Napoleon zjechał się z carem Aleksandrem w Tylży, na promie w środku rzeki Niemna, i zawarli pokój, na mocy którego odebrano Prusakom Wielkopolskę i część Prus i nadano tym ziemiom tytuł **Księstwa Warszawskiego (9-go lipca 1807 r.)** Księciem warszawskim mianowany został król saski, **Fryderyk August I., Sprawiedliwy,** mający odbierać rozkazy wprost od Napoleona. To też jakkolwiek wprowadzono w Księstwie Warszawskiem powszechnie język narodowy w urzędach, szkołach i wojsku, którego liczbę oznaczono na 30,000, przecież było to Księstwo jakby poddanym, obcym krajem, gdzie obowiązywało gwałtem wprowadzone **cywilne prawo francuskie tak zw. Kodeks Napoleona,** a liczne wojsko polskie musiało służyć Napoleonowi i iść do Hiszpanii, aby walczyć z Hiszpanami, którzy Polakom nic złego nie zrobili.

Hiszpanie bronili niepodległości i godności swej ojczyzny z niesłychanem poświęceniem, męstwem i wytrwałością. Wspierany przez górzyste położenie ziemi walczył cały naród: księża, starcy, kobiety i dzieci. Walka z Hiszpanami była i niesprawiedliwa i

bardzo trudna. Szczególnie dwa czyny wojenne okryły Polaków nieśmiertelną sławą, a to zdobycie miasta **Saragossy** i wąwozu **Somo-Sierra.**

W silnie obwarowanej Saragossie trzeba było zdobywać osobno każdą ulicę, każdy dom, a w domu każde piętro i zaułek. W lecie i zimie 1808 r. zdobywali Francuzi to miasto, a główną rolę odegrali Polacy pod dowództwem Chłopickiego, aż Saragossa zamieniona w gruzy poddała się pod honorowemi warunkami (21-go lutego 1809 roku).

Bohaterskie iście zdobycie **Somo-Sierry,** w dniu 30-ym listopada 1808 r., ów dzień wielkiej sławy oręża polskiego, dzień chlubnego, wiekopomnego zwycięztwa, nadzwyczaj pięknie i barwnie opisuje Wacław Gąsiorowski w „Rapsodach Napoleońskich“ w następujący sposób:

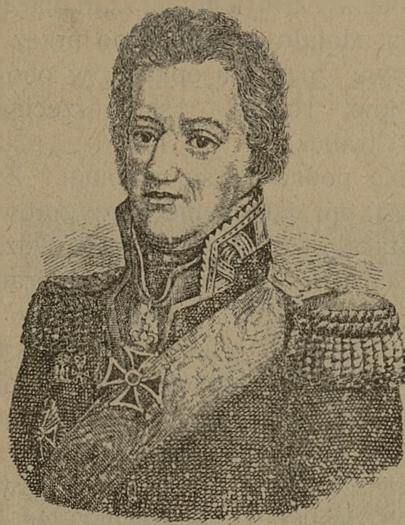
Bonaparte rozkazywał Europie, Bonaparte rozdawał korony. On stanowił granice monarchii, on burzył, budował, nawet wskrzeszać chciał!...

Gdy po traktacie tylżyckim na wschodnich granicach zapanował spokój — Napoleon odwrócił głowę i spojrzał, kędy na półwyspie iberyjskim zaciekłość angielska nowe zastawiała sieci. Bonaparte odwrócił głowę — i zasępił się. Korpus Junota, wiszący nad granicą, rzucił się na Pireneje, opanował Lizbonę i niesfornych Braganzów zniewolił do szukania schronienia za oceanem.

Hiszpania trawiona rozterkami w rodzinie królewskiej, spoglądała obojętnie na zagładę swej sąsiadki, — przyjaźnie witając maszerujące wojsko francuskie... Gdy naraz sprzymierzone oddziały jęły z kolei skradać się do warowni hiszpańskich... Eskurial łudził się dyplomacyą, nawet i wówczas, kiedy już orły cesarskie zamieniły królewskie lilie. Rozprawa była krótką. Przyczyną najścia było panowanie Burbonów, których Bonaparte nawet w Hiszpanii widzieć nie chciał — za okazyę starczyły rozterki Karola IV. z Ferdynandem VII., synem.

Napoleon wezwał królewskich współzawodników na sądy do Bajonny. Wyrok był szybki. Na tronie Filipa drugiego osiadł Józef Bonaparte. Hiszpanie z przerażeniem dowiedzieli się o zmianie dynastyi, wystrojonej w uroczyste zrzeczenie się pod grozą karabinów.

I oto w narodzie ozwała się dusza. „Chunta“ sewilska podniosła harde czoło i pytała, kto ważył się sięgać samowolnie po koronę. Kto świętokradzką rękę podejmuje na wybrańców narodu, skąd obcy na ich ziemi śmie stanowić prawa!?...



General Henryk Dąbrowski.

Henryk Dąbrowski,

ur. 1755 w Pierzchowicach w Krakowskiem, generał polski, twórca legionów, mąż Ojczyźnie z całem sercem i duszą oddany. Kształcił się na żołnierza w wojsku saskiem. Dopiero po konstytucyi 3-go maja powrócił do Polski, zaciągnął się do obrońców jej w chwili wojny z Rosyą, służył w wojnie narodowej 1794 r. pod Naczelnikiem Kościuszką. Pod Radoszycami dostał się do niewoli rosyjskiej, skąd wypuszczony udał się za granicę. Wrogowie, Prusacy i Moskale, ofiarowali mu stopień generała w swem wojsku, ale Dąbrowski go nie przyjął i udał się, po krótkim pobycie w Berlinie do Paryża, gdzie z Barssem i Wybickim utworzyli komitet narodowy. Pod chorągwiami francuskiemi, pod dowództwem wielkiego generała Bonapartego, późniejszego cesarza Napoleona I., Dąbrowski utworzył z żołnierzy polskich osobne oddziały, tak zwane legiony polskie. Dopomagał mu w tem Barss i Wybicki, który ułożył dla tych legionów znaną pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Każda jej strofka kończy się temi słowami: „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski, za Twoim przewodem — złączym się z narodem.“ Jakoż po wielu krwawych bojach, po bolesnych zawodach, złączyły się legiony z narodem. Przy końcu 1806 r. wszedł Dąbrowski na ich czele do Warszawy. Odtąd służył w Polsce, w wojsku Księstwa Warszawskiego, walczył dzielnie pod Raszynem (w r. 1809) przeciw Austryakom; bronił Wielkopolski, brał udział w wielkiej wyprawie Napoleona na Moskwę w 1812 r. Podczas odwrotu zasłaniał prawy brzeg Berezyny, ale otrzymał kulę w rękę. Pomimo to walczył w rok później pod Lipskiem, gdzie znowu odniósł ranę. Po upadku Napoleona I. osiadł w darowanej mu przez cesarza wsi Winnogórze pod Miłosławiem w W. Ks. Poznańskiem i tam dnia 6 czerwca 1818 zakończył życie pełne trudów i chwały. Kazał się pochować w mundurze polskiego generała, z trzema kulami, któremi był ranny. Na łożu śmiertelnem zaklinał otaczających, aby nie zapominali o Ojczyźnie.

Rotowy ogień karabinów i pomruk armat był odpowiedzią. Lecz „Chunta“ sewilska nie ulękła się ani gróźb, ani kar, wymierzonych na opornych, nie dała się uwieść ani obietnicom nowego króla, odrzucała i jego łaski, i nie ugięła się przed bagnetami, i nie zadrżała wobec krwawych rozpraw pod Logrono, Segowią, Valladolid, Santander, Cordobą i Rio Seco.

Gdy Józef Bonaparte wjeżdżał do Madrytu — już cały półwysep tonął w walce na śmierć i życie. Zaledwie zdołał pierwsze zarządzenia poczynić — już nadeszła wieść z Andaluzyi o klęsce pod Baylen. Piętnastotysięczny korpus Duponta poddał się Castaniosowi!

Klęska strwożyła nowego króla, a do tem dzielniejszego oporu zachęciła Hiszpanów.

Król Józef, niepewny jutra — uchodził ku granicom francuskim i słał błagalne wezwania do brata a cesarza.

Napoleon, który sądził, że rozprawa z Hiszpanią ukończoną została — zatrząsł się ze zgrozy na wieść o pogromie pod Baylen... i w jednej chwili rzucił najdzielniejszymi korpusami ku granicom Hiszpanii, a sam na ich czele stanął

Bonaparte szedł, jak wicher, parł marszałków, ciśnął zewsząd zbierające się siły Hiszpanów — aby w Madrycie podyktować najostrzejsze wyroki. Hiszpanie próbowali zagrodzić mu pochód, lecz i dzielna armia estremadurska pod Burgos i korpusy La Romany i Blake, pod Espinosa, Valmacego i Durango — a w końcu dywizye Castaniosa i Palafoxa pod Tudelą zniszczone zostały...

Bonaparte ciągnął już wprost do Madrytu, przed Madrytem jednak, niby sierp potężny, rzucony z zachodu na północno-wschód, zataczały półkole łańcuchy Guadarramy, osłaniając Nową Kastylię murem skał nieprzebytych, wałami górskich grzebieni i ostro wznoszącemi się szczytami Somo-Sierry. A na szczytach tych obozował waleczny Don Benito San Juan, pewny dzielności trzynastotysięcznego korpusu, a bardziej ufny w niezachwianą moc pozycyi... Była to Somo-Sierra, córka Guadarramy...

Guadarrama to łańcuch gór skalistych, stromych, oślizgłych, to mur, odgradzający dziedzictwo gigantów, wał granitowy, zdolny oceanom sta-

wić nieubłagane veto, to garb ziemi, garb opoki. Guadarramę przebyć może tylko orzeł, on jeden bowiem ma odwagę spojrzeć z pod niebieskich stref na ponurą pustkę, wiejącą z górskiego łańcucha, szarzyznę, ścielącą się odeń



Cesarz Napoleon I.

naokół! Guadarrama stoi groźna, połyskująca, nawet aksamitami mchów gardząca a taka w uścisku swych wierzchołków zwarta, tak ogniwami zrosła, że na stoki jej nikt stąpić się nie waży.

W sercu Guadarramy, na północ od Madrytu, wznoszą się szczyty Somo-Sierra. Dumne, harde szczyty. Pośród nich wązki przestwór drogi tonie w mrokach dwóch ścian skalistych i po czterykroć załamuje się, zanim zrąbek przeciwległego stoku odsłoni. Somo-Sierra to brama Guadarramy i brama Nowej Kastylii, brama choć na ścieżaj otwarta, lecz niegościnna, lęk budząca. Te złomy granitów, te gromady skutego ciężaru nad wąwozem — mówią chodź, niech cię zmiażdżę.

Don Benito San Juan znał Guadarramę. Łańcuchy górskie obsadził lasem karabinów, a w wąwozie cztery ustawił baterye. Armaty rozkraczały się na całej szerokości gardzieli, wyciągnęły błyszczące paszcze i czekały, poglądając ku wartkiemu prądowi rozkopanej przed wąwozem rzeczki.

Tu być miały Termopile hiszpańskie. Tu rozbić się był powinien geniusz Bonapartego, tu żywioł zastygły występował do boju.

Napoleon nadciągnął pod Somo-Sierrę, wysłuchał raportów marszałków, doradzających obejście gór i zaatakowania Madrytu od południa i podyktował rozkaz:

„Dywizya Lapisse uda się na noc na prawe skrzydło i o świcie przepuści atak na pozycyę od Supelwedy. Pułk 96 z bateryą Senarmonta ruszy wprost ku wąwozowi i będzie miał za zadanie zdemontowanie dział hiszpańskich, dywizya Ruffin wesprze Lapissa. Pułk 24 uderzy na lewe skrzydło. Bessieres z gwardyą w odwodzie.“

Zanim światło leniwie szarzejącego poranku zdołało przejrzeć po przez listopadowe mgły a opary, w obozie francuskim rozległy się przeciągłe dźwięki trąbek.

Armia podniosła się na nogi. Żołnierz ostatnie jął czynić przygotowania. Stara gwardya uroczyste wdziewała mundury i krzątała się gorączkowo.

Większy atoli jeszcze pośpiech panował w trzecim szwadronie szwoleżerów, który dnia tego z kolejnego porządku miał pełnić służbę przy cesarzu. Adjutant sztabowy przebierał w szwoleżerach, lustrował kompanie, że ledwie 120 ludzi w szwadronie zostawił. Kwaśno przyjmowano zarządzenie adjutanta, lecź na protesty czasu nie było, cesarz już stanął na linii pikiet.

Aż naraz warknęły bębny, trąbka zagrała krótko, chrapliwie.

Baterya Senarmonta ryknęła ponuro, a w ślad za nią padły pierwsze, bezładne strzały tyralierów.

Góry milczały, połyskując dumnie swym skalistym, szklistym pancerzem i tonąc w mgłach.

Za czwartą salwą Senarmonta, Guadarrama plunęła żelazem. Huk przeraźliwy, pomnożony przez echa górskie, wstrząsnął powietrzem. Don Benito San Juan czuwał.

Kule armatnie pruły opary i darły zasłony. Dziewięćdziesiąty szósty pułk ruszył środkiem wprost ku wąwozowi, dźwigając pęki faszyny.

Armaty grały coraz szybciej, coraz zajadlej. Piechota hiszpańska raziła ołowiem. Pułk 96 stopniał w ogniu, każdy krok znaczył krwawemi strugami, aż zdołał rzucić pęki faszyny w rozwarte szeroko brzegi rzeczki.

Faszyna spływać zaczęła, szarpana wartkim nurtem, lecz tuż za nią jęły się staczać ciała ludzkie.

Pułk osłabł. Jeszcze wlec się próbował, raz jeszcze zdobył się na rotowy ogień, lecz zasypany żelazem, cofnął swoje strzępy. Za nim już stał drugi pułk, za drugim trzeci, czwarty. Tyralierzy coraz zacięciej razili stojących na stokach gór Hiszpanów. Ci cofnęli się za wierzchołki.

Cel zniknął dla tyralierów. Wąwóz i góry jeżyły się stalowemi lufami karabinów i groźnemi paszczami armat.

Pułki piechoty szły. Szły ponure, milczące. Szły, rozumiąc, że na zgubę pewną idą, że zanim zdołają do skał dotrzeć, armaty zdziesiątkują ich, zmiażdżą.

Rozkaz.

Marszałek Victor zsiadł z konia i stanął na czele dziewiątego pułku, maszerującego na lewe skrzydło, generał Semele z przeciwnej strony wiódł pułk dwudziesty czwarty. Wodzowie pierwsi wdarli się na najbliżej stojące skały i usiłowali pociągnąć za sobą żołnierzy — atoli góry bluznęły gwałtowniejszym jeszcze potokiem kul...

Żołnierze francuscy zmieszali się i



Jan Kozietulski,
pułkownik szwoleżerów, uczestniczących w bitwie pod Somo-Sierrą.

jak fala morska, rozpadająca się u podnóża rafy — rozprysnęli się w bezładne kłęby, a cofnęli się w nieładzie.

Rozkaz.

Victor nowy pułk zagrzewa. Dywizya Ruffina posuwa się na czoło. Już dopaść zdołała pnącego się ku górom tarasu, już kilkunastu żołnierzy skryło się za zrębami skał, gdy znów grad stalowy stoczył się ku dywizyi, pierwsze szeregi zmiótł, drugie potargał, trzecie zmieszał!...

Rozkaz.

Bębny warczą zajadle. Co chwila z huku armatniego dobywa się rozpaczliwa komenda.

— Szlusuj!

Kolumny zwierają się posłuszne i nikną w oczach.

W bateryi Senarmonta już dwa działa umilkły, zdemontowane przez Hiszpanów.

Bonaparte siedział zadumany pod drzewem, jak gdyby wsłuchując się w huk armat. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył badawczo prężących się przed nim ordynansów i adjutantów, którzy urywanemi zdaniami raportowali przebieg bitwy.

Raporty brzmiały jednakowo.

— Pułk zdziesiątkowany! Dostępu niema! Ogień zabójczy.

Napoleon szarpnął niecierpliwie trzymaną w dłoni rękawicę.

— Montbrun — rzucił ostro. — Wysłać mi rekonesans w góry przed linię, niech pochwyci języka!...

— Montbrun skinął na stojącego w pobliżu Dziewanowskiego. Rozkaz wnet dosięgnął szwoleżerów. Niegolewski ruszył na czele pół plutonu Wasilewskiego.

Do Napoleona tymczasem dopadł młody adjutant artyleryi.

— Najjaśniejszy panie — zawołał. — Trzecie działo zdemontowane!...

Napoleon wskoczył na siodło i pocwałował ku górom. Bessieres, Montbrun, Duroc, de Segur i orszak ordynansów i adjutantów dosiadł koni. Za nimi postępował szwadron służbowy szwoleżerów, prowadzony przez Kozietulskiego.



Andrzej Niegolewski,
porucznik szwoleżerów, uczestniczących w bitwie pod Somo-Sierrą.

Bonaparte minął idące do ataku pułki piechoty i zatrzymał się dopiero na szerokiej płaszczyźnie zasłanej ciałami poległych. Napoleon badał pozycyę. Rozproszone nieco mgły odsłaniały już widok na ciemną gardziel wąwozu Somo-Sierry, z głębi którego artylerya hiszpańska sypała zabójcze pociski.

— Rzeka założona faszyną?...

— Nie zupełnie, sir!

— Ponowić atak!

Świeży pułk piechoty porwał się z miejsca.

— **Vive l'empereur!** — huczeli żołnierze, przeciągając w pobliżu. Okrzyk ich atoli wśród ryku armat zginął, rozpływał się.

Pułk szedł z hardo podniesionym orłem.

Bonaparte ścigał go wzrokiem. Widział jak masy ciał słały się, jak ranni, wpółżywi darli się do rzeki. Szczytem bohaterstwa było dotrzeć do niej, rzucić w nią pęk chrustu!

Rzeka wypełniała się szybko. Ciała żołnierzy lepiej się tu sprawiały, niż faszyna.

Niegolewski tymczasem powrócił z ordynansu.

Generał Montbrun stawił przed cesarzem wydartego górom Hiszpana. Napoleon spojrzał na przerażoną twarz jeńca i dał znak, że badać go nie chce.

— Bessieres! Gdzie szwadron służbowy?!

— Na prawo, pod górą!

Bonaparte spojrzał w stronę, kędy bielił się pas siwych płaszczów, a czerniały ceratowemi pokrowcami okryte ułanki.

— Dobrze stoją!

— Prawda sir!...

Napoleon zwrócił lunetę ku rzece. Orzeł cesarski chwiał się bezwładnie ponad cofającemi się szczątkami pułku.

— Dosyć! — Bessieres! Szarża natychmiast — szwadron szwoleżerów!...

Marszałek spojrzał zdumiony na cesarza.

— Najjaśniejszy panie! — szepnął. — Niemożliwe!...

— Powiedz im, że ja chcę!

— Bessieres pochylił się na siodle i spadł na szwadron.

Marszałek rzucił Kozietulskiemu rozkaz. Stojący w pobliżu generał Montbrun zdarł konia.

— Panie marszałku... szarża?!...

— Rozkaz cesarski — uciął krótko Bessieres.

Kozietulski dobył pałasza i zatoczył koniem przed szwadronem. Kilka gromkich zawołań zwinęło linię, wyciągnęło szwadron w czwórki. Szable błysnęły. Słońce wychyliło się z po za obłoków.

— Do milion dyabłów! — rozległ się stalowy głos Kozietulskiego. — Cesarz chce, abyśmy tych szczurów wymietli!... Naprzód!...

Szwadron drgnął.

Na młodzieńczych twarzach zakwitły rumieńce. Z pod czap jasne oczy trysnęły skrami.

Kozietulski podniósł pałasz do góry — jednym płomiennym rzutem oka duszę przeniknął szwadronu i zawołał gromko:

— Naprzód, psia krew! Cesarz patrzy!

— Niech żyje cesarz! — huknęli żołnierze i pochylili się na siodłach.

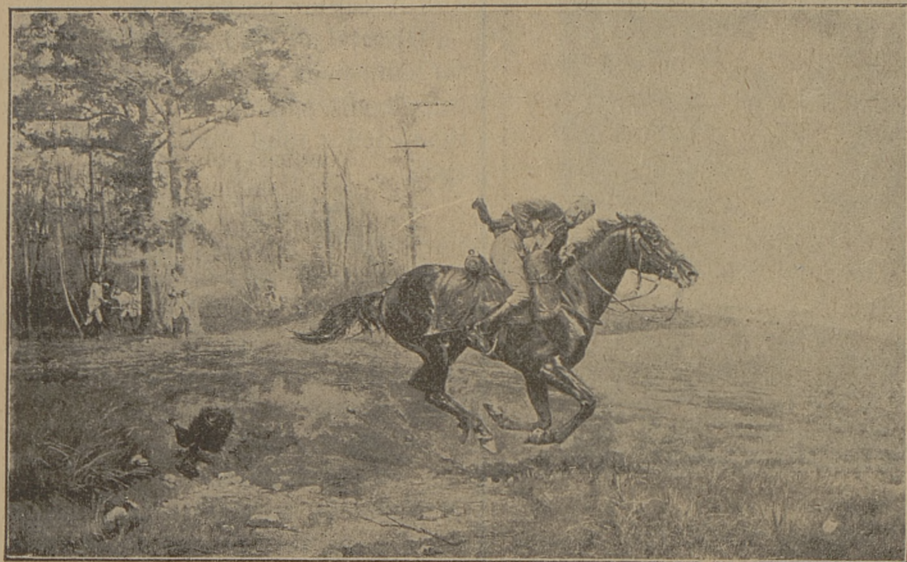
Szwadron zaszamotał się, spieszyły się ostrogami naciśnięte konie i sunęły jak wezbrany potok ku ziejącej



Po szarży. (Rok 1808.)
Pułk ułanów Księstwa Warszawskiego wraca po wykonanej szarży na swe stanowisko. Cesarz Napoleon I w gronie adjutantów podziwia dzielną postawę polskich żołnierzy.

ogniem gardzieli, jak lawina, jak burza. Wyciągnęły szyje, rozwarły chrapy, ledwie ziemi dotykając kopytami. Z ócz i z serc żołnierzy jednakie szły ognie, jedna w brwiach była zaciętość, jedna nienawiść, jeden zapał i myśl jedna!...

— Oto tam w oddali, stoi ten który za krew naszą przyrzekł powrócić ojczyznę! który żąda dowodu męstwa, który wątpił, czy jesteśmy godnymi... swobód! który stał się jedyną naszą nadzieją... z losami którego skuliśmy przyszłość naszą!....



Kuryer Napoleona I.

Ta myśl gorzała w sercach, ta myśl kurczowo zacisnęła kiście rąk około głowni, ta myśl szwadron szwoleżerów przeistoczyła w jedno ciało, zaklęła w jedną duszę.

Hiszpanie zaprzysięgli ledz w wąwozie.

Szwadron przesadził rzeczkę w połowie zasypaną ciałami poległych, a w połowie chrustem i wpadł w wąwóz. Baterya hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skręcie — sypnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zwaliło się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Kozietulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł.

Szef szwadronu stoczył się pod ścianą wąwozu.

— Na armaty, dzieci! Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

Szwoleżerowie wpadli na kanonierów hiszpańskich, zanim ci po raz drugi zdołali podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach. Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszy zawadzając o resztki kanonierów. Czego nie dokonały cięcia — tratowały konie.

Gardziel wąwozu za pierwszą bateryą zwężała się, tworząc zaciemniony korytarz, a w końcu załamywała się i znów się wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów broniła oddzielna baterya, zagradzała drogę, tworzyła węzeł, stanowiła niezdobytą redutę, była dość silną, by atakowi stawić czoło, by go zetrzeć na miazgę, by z miazgi tej dla samej siebie zawał obronny utworzyć.

Termopile hiszpańskie cztery miały ogniwa, cztery czeluście, w których czego armaty by nie zdołały wymieść — lasy karabinów, na szczytach ustawione, miały do skał przygwoździć.

Strzałów chybiających tu nie było. Wąwóz prostował skrzywienia celów, a gdy kula o ścianę jego uderzyła, wypryskiwał odłamami granitu i srogie zadawał kontuzye...

Wiedział o tem Don Benito San Juan i spokojnie czekał za górami, rychło fala żołnierzy francuskich, szamocąca się u stóp Somo-Sierry, nie odpłynie upokorzona. Wiedziała o tem i „Chunta,“ rządząca powstaniem i czekała spokojnie w Aranżuez wiadomości o ustąpieniu Bonapartego.

Gdy szwadron Kozietulskiego porwał się do szarży — Don Benito San Juan uśmiechnął się pogardliwie... Lecz gdy po nad pierwszą przepłynął bateryą, gdy do uszu Don Benita doszedł okrzyk gromki, potężny, brzmiący szaleństwem — wódz hiszpański zbladł...

Szwadron pędził naprzód. Stu dwudziestu ludzi rzucało się na armię, na grad kul, na góry, na skały, na Somo-Sierrę.

Szwadron pędził naprzód. Kozietulski, stoczywszy się z konia, pomimo kontuzyi, oczy wzniósł błagalnie ku mijającym go w pędzie żołnierzom i żebrał:

— Bracia! Towarzysze! Konia!

Nikt go nie słuchał.

Przed drugą bateryą padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonierów odłam skały uderzeniem w piersi zwalił z konia Piotra Krasińskiego... Dziesięciu żołnierzy okupiło drugą redutę...

Dziewanowski prowadził dalej, mając tuż przy sobie wachmistrza Wasilewskiego ze szwoleżerem Szumem.

Na trzecim załamie ogień nieprzyjacielski wzmógł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wąwóz — baterye raziły zajadle.



Marszałek Murat w bitwie pod Jeną.

Jena, miasto w Niemczech, nad rzeką Salą, niedaleko Wajmaru, liczy 15 000 mieszkańców i ma uniwersytet. Pod Jeną rozgromił Napoleon pod wodzą Murata wojsko pruskie dnia 14-go października 1806 r., poczem wziął Berlin i całe Prusy.

Murat Joachim, ur. 1771 r., syn oberżysty, odznaczył się jako żołnierz w wojsku, wskutek czego szybko postępował w stopniach do coraz wyższych. Poślubiwszy najmłodszą siostrę Napoleona I, został w 1804 r. marszałkiem i księciem, a w 1808 r. królem Neapolitańskim. W chwili niepowodzeń Napoleona chciał wejść w stosunki z jego nieprzyjaciołmi, mimo to został przez nich tronu pozbawiony, a kiedy chciał go odzyskać, dostał się do niewoli i został w 1815 r. rozstrzelany.

szarpały płaszcze i mundury na strzępy, raniły i zabijały konie, dziesiątkowały szeregi. Co chwila ktoś zaczynał się słaniać na koniu i zapadał się w potok pędzący.

Bez komendy konie szlusowały, zamykały przerzedzone szeregi, a choć na grzbiecie swym dźwigały niekiedy już tylko krwią zlaną kulbakę, mknęły dalej dopóki kule armatnie nie poszarpały ich, nie zbiły z nóg.

Kompanie zmięszały się, plutony brały już podział życia i podział śmierci.

Niegolewski, który z plutonem swym szedł ostatni, znalazł się tuż za wachmistrzem Wasilewskim, gdy trzecia baterya, zdążywszy do drugiego wystrzału się przygotować, zionęła żelazem. Zmiot był straszny. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozniósł, kanonierzy leżeli stratowani. Dziewanowski stoczył się, plując krwią.

— Naprzód! — wołał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód! — wołał Niegolewski.

Na górach tymczasem stało się to, czego ani dzielny Don Benito, ani „Chunta“ rządząca, ani Bonaparte przewidzieć nie mogli

Szczyty Somo-Sierry zakołysały się, szeregi Hiszpanów zachwiały, okrzyk przerażenia dobył się z piersi wojska powstańczego... U ich stóp, na krańcu niezdobytego wąwozu, ukazały się białe płaszcze szwoleżerów i pokrowcem okryte ułanki!...

Armaty zagwożdżone, z zalanymi krwią zapałami, zasłane trupami zwycięzców i zwyciężonych — umilkły... Okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ — huczał a piął się po skałach, a jęczał....

Hiszpanie zdumieli — broń wypadła im z rąk, zmieszali się, złamali karne łańcuchy i jak fala spływać zaczęli ze stoków Somo-Sierry i szukać schronienia, kędy wiła się ścieżka, kędy górski wąwóz wiódł ku Saragossie, Madrytowi, Aranżuezowi, Walencyi...

Ucieczka była straszna. Lęk nie miał pomiarkowania, głuchy był na własne bezpieczeństwo. Żołnierze parli przed siebie na oślep, częstokroć na końcu wąwozu, znajdując ponurą nieubłaganą ścianę, która im była wyrokiem śmierci, gdyż z gardzieli Somo-Sierrskiej wysypały się już świeże szwadrony szwoleżerów, szaserów i konnych grenadyerów, a na góry pięła się bezkarnie piechota francuska. Zgiełk bitwy nikł za górami i rozpraszał się. Oddziały kawaleryi wracać zaczęły powoli, prowadząc tysiące niewolnika. Piechota zajęła obóz Don Benita.

Wąwóz Somo-Sierra umilkł — zastygł ze zgrozy i ponure cienie słał na bezkształtne masy ciał ludzkich.

Aż oto w gardzieli Somo-Sierrskiej ukazał się Bonaparte.

Jechał zamyślony, spoglądając ze zdumieniem na dokonane żniwo śmierci. Bo jak wedrzeć tu się mogła kawalerya, jak przepłynąć zdołała ponad bateryami, które całą szerokość wąwozu zajmowały?...

Od czasu do czasu z pośród stosu ciał wznosiła się ręka, a z piersi konającego wydobywał się okrzyk pełen zapału:

— Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten grzmiał groźny, mocny i dookoła czary rzucał, bo pół zastygłe ciała poruszały się, posiniałe wargi składały się do uśmiechu, w zbielałych oczach drgało życie!

— Niech żyje cesarz! — wołali ranni.

— Niech żyje cesarz! — szeptali konający, ostatnie wydając tchnienie!...

..I otóż pod Somo-Sierry szli plutonami żołnierze ziemi! Szli promienni, szczęśni, szli z pieśnią Bogarodzicy, szli przed tron Wszechmocnego. Szli nowym indygenatem zdobni, szli w karmazynach krwi, za kraj przelanej..... Szli dumni, że oto w wąwozach Somo-Sierry wyryli imiona, na wieki wielkie, na wieki drogie! Szli rozradowani z nadzieją i wiarą! Szli!... A Wielkopolan między nimi było siedemnastu!

* * *

Dla bohaterów z pod Somo-Sierry i dla ducha, który ich ożywiał, winniśmy cześć i pamięć nie gasnącą, więc w setną rocznicę chlubnego ich zwycięstwa wiekopomnego oddajmy bohaterom naszym hołd należny, i — mimo, że bronili niesłusznej sprawy obcego najazdu na ziemię hiszpańską, pamięć ich czysta, bo oni tam, na krańcach Europy, mężnie oddawali życie za Polskę ukochaną!

Czego za świeża skorupa nawrzała
Ten zapach będzie w sobie długo miała.
Jan Kochanowski.

* * *

Tak wielu występkom i wadom poddan jest żywot człowieczy, iż jeślibyśmy wiele rzeczy nie przebaczali, a występków sobie zobopólnie nie odpuszczali, niedługoby to towarzystwo a złączenie ludzkie trwało.
Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Kto się wczas w drogę gotuje,
Ten najbezpieczniej wędruje.
Mikołaj Rej.



Wąwóz Somosiery.

A czyjeż to imię
Rozlega się sławą,
Kto walczy za Francyę
Z Hiszpanami krwawo?

To konnica polska,
Sławne szwoleżery
Zdobywają cudem
Wąwóz Somosierry.

Już francuska jazda
Cofa się w nieładzie,
Pod śmiertelnym ogniem
Wał trupów się kładzie.

A w tem Napoleon
Na Polaków skinął:
Skoczył Kozietulski,
W czwórki jazdę zwinął.

Na wiarusów czele,
Jak piorun się rzucił,
Wziął pierwszą bateryę —
Ale już nie wrócił.

Skoczył Dziewanowski,
Jak piorun się rzucił,
Wziął drugą bateryę —
Ale już nie wrócił.

Skoczył Krzyżanowski,
Jak piorun się rzucił,
Wziął trzecią bateryę —
Ale już nie wrócił.

Jeszcze się została
Ta baterya czwarta...
Bronią jej Hiszpanie,
Walka wre zażarta.

Niegolewski młody
Spiął konia ostrogą —
— Może stracę życie —
Lecz przedam je drogo!

Jak wicher się rzucił
I jak błyskawica,
A za nim, jak burza,
Ta polska konnica.

Już biorą armaty,
Już tną kanoniery,
Już wzięli Polacy
Wąwóz Somosierry!

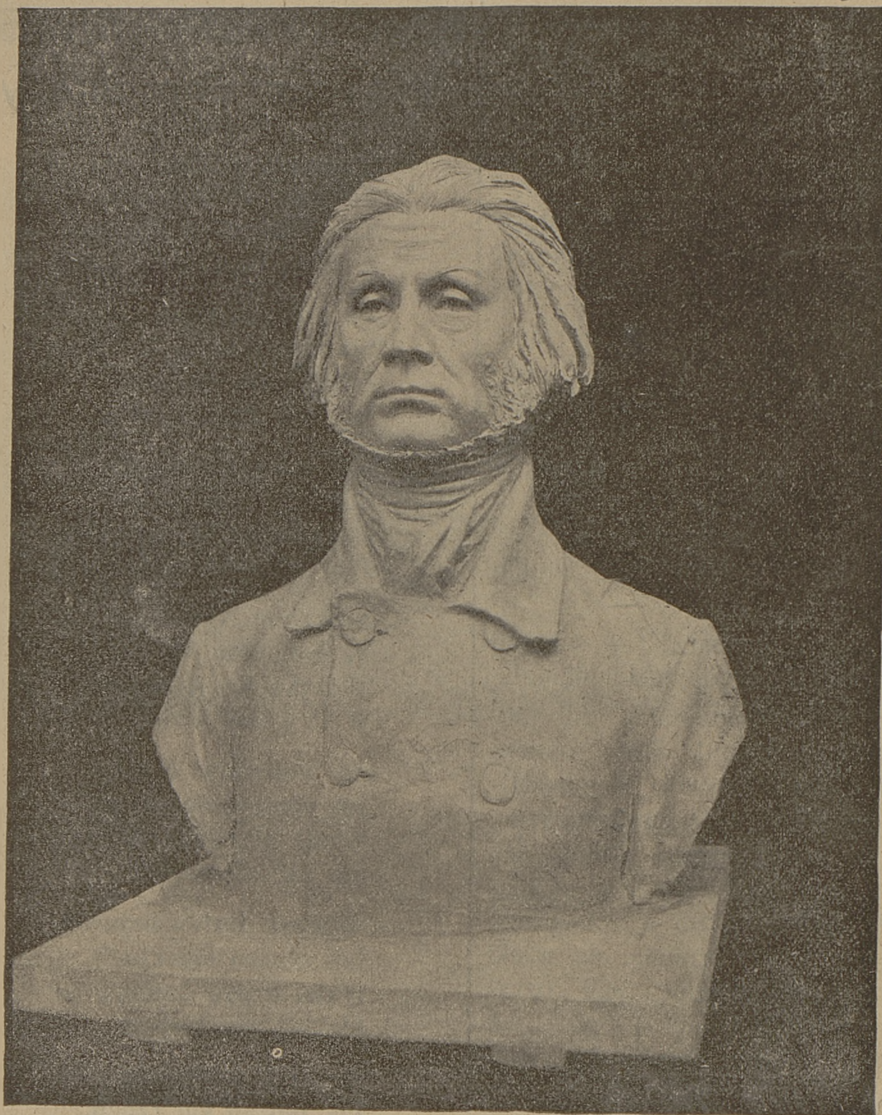
Niegolewski ranny
Z konika się chyli —
Napoleon do piersi
Orła mu przyszpili.

I rzecze — ściskając
Rannego junaka:
— Nie ma niepodobnej
Rzeczy — dla Polaka!

Jan Sawa.

Królowi pieśni.

(W pięćdziesiątą trzecią rocznicę zgonu.)



Adam Mickiewicz
ur. 24. XII. 1798 — um. 26. XI. 1855.

Smutną rocznicę obchodzimy corocznie w końcu listopada, rocznicę śmierci największego poety naszego, Adama Mickiewicza.

Umarł Mickiewicz zdala od swej ziemi ojczystej, którą tak ukochał, umarł wśród obcych, bo aż w stolicy Turcyi, w Konstantynopolu, dnia 26 listopada 1855 roku. Śmierć zaskoczyła go w chwili, gdy właśnie marzył o oswobodzeniu Ojczyzny. Był to rok wojny krymskiej, w której trzy mocarstwa: Anglia, Francya i Turcya, walczyły przeciw Rosyi.

Poeta nasz sądził, że to chwila najstosowniejsza dla Polaków, by chwycili za oręż i wraz z trzema mocarstwami uderzyli na swego ciemięzcę, na Rosyę. Uzyskawszy zasiłek pieniężny od Francyi, udał się do Konstantynopola, gdzie miał utworzyć legion wojsk polskich. Inne jednak były plany Opatrzności. Mickiewicz rozchorował się w Konstantynopolu, zapadł na cholerę, która przecięła pasmo jego życia. Umarł na ręku przyjaciela, przyjąwszy święte Sakramenty. Ciało jego, zabalsamowane, przewieziono do Paryża i złożono na cmentarzu obok grobu żony. Dopiero w roku 1890 sprowadzono je do Krakowa i pochowano na Wawelu. Król pieśni spoczął obok królów Polski.

Adam Mickiewicz, to największy nasz poeta, myśliciel i wieszcz narodu. Jego książki, wierszem pisane, pozostaną na zawsze najcenniejszym naszym skarbem. W księgach tych zamknął poeta całą Polskę, całą duszę narodu. Czuł za miliony — jak sam mówi o sobie — miłość Ojczyzny była treścią jego życia, była mu życiem całem.

Imię Adama Mickiewicza jest dla nas symbolem, uosobieniem miłości Ojczyzny. Niem krzepi naród swego ducha, w niem szuka pomocy w smutnych chwilach, ono dodaje nam siłę i wlewa nadzieję lepszej przyszłości.

Daleko mniej kosztuje pisać i rozprawiać, aniżeli szczerze mówić prawdę i narażać się w jej obronie.

* * *

Siła rodzi się tylko z bólu.

Adam Mickiewicz.

Rozum i wiara.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem:
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy łuną klęski z niebieskiego stropu;
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę — i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w jego wszechmogącej dłoni.
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga:
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień Wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne źwierciadła oświeca;
Ach! ty bez Wiary, byłbyś niewidomy.

Myśli Adama Mickiewicza.

Na niwach, gdzie nasz ród ma siedlisko, wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha.

* * *

Ostygłe pogaństwo nie przestaje gnębić życia chrześciańskiego, ale to życie weźmie nakoniec górę.

* * *

Dopiero dokazawszy wielkich rzeczy, można słusznie oczekiwać wielkich pomników.



Nowe kandydatury poselskie.

Z zadowoleniem witamy odezwę naszej głównej władzy wyborczej, która na okręg babimojsko-międzyrzecki zawarła kompromis z partyą centrową, na mocy którego Polacy zaraz przy pierwszem głosowaniu oddawać będą swe kartki na kandydata centrowego ks. prob. Roenspiessa z Kaszczora.

O ile nasze informacye sięgają jest to kandydatura z wszech miar szczęśliwa i zasługująca na zaufanie. Niewątpimy, że wyborcy polscy, jak jeden mąż staną do urny wyborczej. Nie tak pewni jesteśmy ogółu naszych współwyznawców niemieckich, wśród których — pomijając już brak należytej organizacyi — grasuje bądź to choroba hakatystyczna, bądź strach przed rządem, który oczywiście życzy sobie przejścia kandydata blokowego.

Miejmy nadzieję, że wynik ostateczny wykaże, że katolicka ludność okręgu babimojsko-międzyrzeckiego w większości swej zrozumiała, że ostatecznym celem dążeń polityki hakatystycznej jest nie tylko zgermanizowanie, lecz równoczesne sprotestantyzowanie naszych dzielnic, jak to poseł Erzberger w swej broszurze jasno wykazał.

Zwycięstwo centrowego kandydata kompromisowego w okręgu, który dotąd zawsze był w rękach konserwatystów, będzie dowodem wzmagającej się opozycyi przeciw nieznośnemu systemowi hakatystycznemu. Każdy zatem pokój miłujący człowiek, czy Polak czy Niemiec, powinien popierać kandydatury przeciwblokowe i w ten sposób niedwuznacznie dać wyraz swej woli, przeciwnej dzisiajszej skandalicznej gospodarce hakatystycznej w naszej dzielnicy.

* * *

Również nowe wybory będziemy mieli w okręgu średzko-śremskim, gdzie p. Dr. Alfred Chłapowski mandat złożył.

Nie będziemy tu roztrząsali, co posła Chłapowskiego skłoniło do złożenia mandatu. Stoimy przed faktem dokonanym i należy radzić o przyszłości.

Nasze zapatrywania co do działalności poselskiej z okazyi ostatnich wyborów do sejmu jasno wyłuszczyliśmy. Nie będziemy się zatem powtarzać.

W sprawie tej znajdujemy w „Dz. Pozn.“ słuszne uwagi, z któremi najzupełniej się zgadzamy. Czytamy tam:

„Ogromna większość posłów naszych obowiązki te traktuje, bo traktować je musi, jako zadanie poboczne, zjawia się w Berlinie jedynie w chwilach ważniejszych, aby co prędzej wracać do domu dla załatwiania interesów zawodowych.

„Rzecz prosta, że w takich warunkach szwankować musi organizacya wewnętrzna naszych Kół poselskich, że brak w ich działalności tej ciągłości i spoistości, które jedne tylko gwarantują pracę prawdziwie korzystną.

„Nie chcemy jednak, aby nas zrozumiano fałszywie. Ideałem naszym nie jest bynajmniej reprezentacya, złożona wyłącznie z polityków zawodowych. Nie mniej przeto pewien procent takich polityków, a przynajmniej posłów, przebywających przez cały ciąg kadencyi na miejscu obrad, jest dla dobra sprawy niezbędny. W przeciwnym bowiem razie dojdziemy do reprezentacyi, złożonej z dyletantów, traktującej z konieczności po dyletancku wszystkie sprawy.“

Radzi zatem „Dziennik“, by odłożono na bok wszelkie uprzedzenia osobiste i antagonizmy stronnicze, by nie patrzano na markę partyjną, lecz wyłącznie na kwalifikacye kandydata. Chodzi bowiem o to, by do parlamentu wysłać osobistość najodpowiedniejszą.

Podzielamy to zdanie najzupełniej i szczęśliwi bylibyśmy, gdyby takiego kandydata można znaleźć wśród sfer włościańskich i robotniczych. Dziennik jest zdania, że kandydatów takich należy szukać przedewszystkiem wśród obywateli, którzy już pełnili obowiązki poselskie i złożyli dowody gorliwości i uzdolnienia.

Do takich gorliwych i zdolnych byłych posłów należą zdaniem naszem osobistości, jak ks. prałat Jażdżewski i szambelan Cegielski.

Nie wiemy — podobnie, jak Dziennik, który wogóle żadnych nazwisk nie wymienia, — czy by panowie ci przyjęli kandydaturę, lecz znając ich działalność w ciałach prawodawczych, a także w dziedzinie publicznej pracy w kraju, wiemy, że społeczeństwo w mężach tych znalazłoby reprezentantów takich, o jakich obecnie chodzi: parlamentaryuszy rutynowanych, prawie zawodowych, rozporządzających niezbędnem na tem stanowisku doświadczeniem i szeroką wiedzą, a mogących również — dzięki szczęśliwym prywatnym warunkom — czas swój głównie poświęcić pracom w parlamencie.

Pisząc to — jak nigdy, tak i w tym przypadku — nie narzucamy nikomu naszych zapatrywań. Zaznaczamy tylko, że — jeżeli odpowiednia kandydatura robotnicza, której dajemy pierwszeństwo, znaleźć się nie da — natenczas jednę z wyż wymienionych kandydatur powitalibyśmy z wielkiem zadowoleniem.



Na widowni.

W berlińskich ciałach prawodawczych ważne ostatniemi dniami toczyły się dyskusye. Dotyczyły one interpelacyj rozlicznych w sprawie okropnego nieszczęścia w kopalni Radbod oraz kwestyi reformy finansów rzeszy.

Na kopalni Radbod zginęło 344 górników, a 26 ciężko zostało pokaleczonych. Rozliczni mówcy ostro rozprawiali się z rządem domagając się należytej ochrony zdrowia i życia robotników, ogólnego prawa gorniczego oraz kontrolerów kopalnianych, wybieranych z kół robotniczych. Z polskich mówców przemawiali posłowie Korfanty i Brejski. Na interpelacye odpowiedziano od stołu ministeryalnego, że ostateczny sąd nad nieszczęściem można wydać dopiero **po skończeniu śledztwa, które się obecnie toczy.** Tymczasem rządy czynią co tylko możliwe, aby podobnym katastrofom zapobierz. Żądanie pociągania do kontroli kopalń także górników-robotników, uważają rządy za słuszne. Jednakże nie godzą się na przedłożenie jednolitego prawa górniczego dla całej Rzeszy.

W sprawie reformy finansów, która w rozciągłości podanej przez projekt rządowej dochodzi do granic konfiskaty majątku na cele państwowe, przemawiał z Koła poseł Dziembowski i oświadczył, że Koło głosować będzie przeciw tej ustawie i to dla tego, że Koło nie ma zaufania do obecnego systemu rządowego. Nie zapomniał także mówca wytknąć rządowi sławnych na cały świat ustaw antypolskich: ustawy wywłaszczającej i zakazu polskiego języka na wiecach i zaznaczył, że to i czysto rzeczowe rozważania uniemożliwiają nam głosowanie za projektem refommy finansowej; wszakże pragnie Koło współpracować pozytywnie w ewentualnych obradach komisyjnych.

Na Bałkanie sytuacya ciągle się zaostrza. W Turcyi coraz więcej rozszerza się bojkot towarów austryackich, co handel austryacki bardzo ciężko odczuwa. W Serbii i Czarnogórze przygotowania wojenne. Austrya jest w trudnem położeniu, gdyż z chwilą wypowiedzenia wojny, dała-

by Rosyi i Włochom sposobność wmieszania się w sprawę, tym samym Włochom, które swego czasu sprezentowały Czarnogórę baterya dział szybkostrzelnych, które obecnie dominują nad zatoką Catarro.

Fatalne skutki pociągnęły za sobą awantury w wiedeńskim uniwersytecie. Demonstrowali tam włoscy akademicy na rzecz włoskiego uniwersytetu w Tryeście. Podczas tej demonstracyi zaczęli studenci niemieccy śpiewać „Die Wacht am Rhein“ i bili Włochów. Ci bronili się strzałami rewolwerowemi, przyczem kilku Niemców zraniono. Zajście to wywołało wielkie wzburzenie w samych Włoszech. W rozmaitych miastach włoskich przyszło do ostrych antyaustryackich demonstracyi, przyczem nie obyło się bez znieważania znaków austryackich. W Rzymie spalili akademicy włoscy austryacką chorągiew. W Bolonii, Como, Turynie, Neapolu i innych miastach odbyły się namiętne demonstracye. Poseł Chiesa wniósł w izbie włoskiej interpelacyę, w której zapytuje ministra spraw zagranicznych, czy traktaty z państwami niemieckiemi nie gwarantują Włochom austryackim większego bezpieczeństwa osobistego.

W Wiedniu z powodu tych zajść zamknięto uniwersytet i akademię rolniczą.

Sensacyą wywołuje publikacya nowojorskiego „Worlda,“ dotycząca rozmowy, jaką cesarz niemiecki miał mieć z niejakim p. Halem. Jak wiadomo wykupił rząd niemiecki ten interwiew z rąk nakładcy za ciężkie pieniądze. W rozmowie tej poruszono bardzo drażliwe sprawy, pomiędzy innemi sprawę katolicyzmu w Niemczech. Książe Bülow jednak oświadczył, że interwiew ten nie jest autentyczny.

Obrzydliwy wypadek zdarzył się w Petersburgu przy otwarciu wystawy dzieł starych mistrzów rosyjskich. Wypoliczkował tam komisarz carski baron Wrangell malarza Botkina, sędziwego starca, znakomitego artystę i członka akademii sztuk pięknych. Zdarzenie to ohydne wywołało wielkie wzburzenie w Petersburgu.

Światło nowe może się tylko u tych przyjąć, którzy gotowi do jego przyjęcia.

* * *

W dziejach postępu człowieczeństwa są wieki nagłego biegu i zatrzymania się na miejscu. Gdyby duch ludzki postępował ciągle równym krokiem i prosto, nie byłoby w jego historyi epok i przemian.



Z teatru.

„Kupiec wenecki“ — Szekspira.

Jakoby na przekór niesprawiedliwej bajce, która głosi, że Poznań tylko na harce lekkiej muzy jest wrażliwy — wielka komedya wielkiego angielskiego mistrza zwabiła w mury teatru naszego liczną i wytworną publiczność.

Znak to dla dyrekcyi teatru pouczający. Zachęca on do pilniejszego, aniżeli dotąd, kultu wielkiej sztuki, która i w naszem środowisku znajdzie zwolenników, jeżeli i temu rodzajowi poświęci się tę samą staranność i pietyzm, z jakim się reprodukcye rozmaite „Słodkie dziewczyny“, „Piękne Heleny“ i tym podobne widowiska, które — lubo mile łechcą ucho i schlebiają zmysłom — to jednak nie zbogacą ducha ani okruszyną poznania i duszy nie oświetlą, nie ogrzeją ani jednym promieniem prawdziwej radości.

Szekspir — lubo nie wszystko — co napisał jest wielkie, owszem, twórczość jego zrodziła szereg rzeczy pośledniech — jest bodaj największym dramatopisarzem wszystkich narodów i czasów. Nikt przed nim i nikt po nim nie posiadał w takim stopniu jak on tego niezrównanego daru jasnowidzenia, który pozwalał mu wnikać w najistotniejsze i najgłębsze tajnie charakterów ludzkich, w samą rdzeń życia i człowieka; nikt w takim stopniu jak on nie posiadał tajemnicy mistrzowskiego odtwarzania życia i człowieka — człowieka, jakoby wcielonego w jakąś potężną, wszystko ogarniającą namiętność, a jednak objawiającą się zgodnie z indywidualnością bohatera.

Równie wielki w tragedyi, jak w komedyi, która u niego obfituje w wielkie tragiczne momenty i idee, uwydatnia Szekspir całe swe niedoścignione mistrzostwo, całą swą fenomenalną potęgę twórczą w najsubtelniejszym rysunku charakterów, z których, jako jedynego źródła, wypływa i rozwija się cała akcya zgodnie z właściwościami, zapatrywaniami i namiętnościami działających osób.

Niezrównany mistrz, przed którym język ludzki wszystkie swe odsłonił tajemnice, dla którego nie ma trudności wyrażenia tego, co mu duszę porusza, znajduje Szekspir dla wszystkich myśli najdoskonalszy wyraz. Każdy charakter, każdy temperament na swój własny, nieomylny przemawia sposób i objawia się już jasno w zewnętrznej formie.

Technika szekspirowska, czysto zewnętrzne zestawienie scen, rozczłonkowywanie jednolitego w wyższej całości aktu na szereg obrazów dramatycznych, odgrywających się na rozmaitych miejscach, i w rozmaitym czasie, rzeczy, które w nowoczesnym teatrze sprawiają trudności — wynika z prostoty starej sceny angielskiej, której prosty plakat służył za kulisy i scenerye i która większe od dzisiejszej stawiała wymogi do wyobraźni widza.

Lecz wszystko to nie dotyka istoty sztuki i nie może być poczytanem za usterkę pisarzowi.

Szekspir jest poetą namiętności. To sprawia, że w niektórych utworach przeciągnął strunę i dał w miejsce człowieka, opanowanego daną namiętnością, namiętność samą, jej personifikacyę. Jestto bezsprzecznie błędem. Zdarzyło mu się to w osobie Shylocka w „Kupcu Weneckim.“

Tak jak w Molierowskim „Skąpcu“ postać skąpca jest personifikacyą skąpstwa — tak w „Kupcu Weneckim“ Shylock jest personifikacyą nienawiści, nienawiści zdeptanej rasy.

Shylock nie jest człowiekiem, jak nim nie jest i Jagon w „Otellu. Nie ma bowiem ludzi tylko i wyłącznie złych.

Trudno wyobrazić sobie większego potwora, jakim jest Ryszard III.. a jednak dał mu Szekspir niepospolite męstwo. Cnota ta ratuje w nim człowieka. Weźcie mu ją, a zostanie czart.

Shylock tymczasem nie posiada ani jednego jaśniejszego rysu w swym okropnym charakterze. Jest mściwy, podły, chciwy, okrutny — nie ma w nim ani uczuć ojcowskich ani przywiązania do wiary swej. I dlatego nie uczuwamy dla tego potwora ani kropli litości. gdy go miażdży wyrok sądowy i skazuje na najstraszniejszą karę. jaką wymarzyć może okrucieństwo ludzkie: na zmianę wiary.

Nic on nie zna okrom nienawiści. Żądzą zemsty i nienawiścią żyje i oddycha. W uczuciach tych nie waha się ani na chwilę. Ani na chwilę nie ma do niego przystępu żadne zacne uczucie ludzkie. Gdy go córka porzuca, płacze. Lecz nie nad córką, tylko nad kosztownościami, które zabrała. Pragnąłby ją widzieć martwą u swych stóp, byle skradzione klejnoty były na niej... Chciwiec odrzuca bez wahania okup Basania. Nienawiść tysiąckroć silniejszą jest w nim, niż chciwość, której zaspokojeniu byłby poświęcił bez namysłu życie córki... Tak działa nienawiść, naga namiętność nie przytłumiona żadnym innym ludzkim pierwiastkiem, żywiołowa żądza mocna, jak

śmierć. Mimo to wrażenie, jakie ta komedya wywiera, jest olbrzymia. Jak przed wiekami tak i dziś i za setki lat ludzie zachwycać się będą „Kupcem Weneckim,“ a pierwszorzędni aktorzy wszech narodów wysilać będą swój geniusz, by godnie odtworzyć potężną postać Shylocka. Zadanie to zaiste nie łatwe.

Na naszej scenie objął je p. Andruszewski. Cenimy tego zdolnego i sympatycznego artystę bardzo. Jednakże nie może nas to powstrzymać od wypowiedzenia swego zdania bez ogródek. Twierdzimy zaś, że artysta roli tej nie oddał należycie, bo — według nas — nie wniknął w jej ducha. Artysta grał bardzo powściągliwie, unikał szerokiego gestu, wystrzegał się deklamacyi jaknajstaranniej. Niektórzy upatrują w tem szczyt artyzmu. My zaś powiadamy, że Shylock, tak grany, wypada blado, bezbarwnie. Nie. Shylock — to żywiołowa namiętność, ślepa i gwałtowna, która się pieni i rzuca, która w szalonem napięciu czycha na swą ofiarę, która z dziką rozkoszą drgającą oszalałą ręką ostrzy nóż, by go utopić w piersi znienawidzonego wroga, która w ciągłej niepewności drży na myśl, że jej się ofiara wysunąć może. Potrzeba tam innych, głębszych, gwałtowniejszych, powiedzmy potworniejszych akcentów, jak te, na które zdobył się p. Andruszewski. Zresztą sądzimy, że artysta ten nie posiada zewnętrznych warunków — przedewszystkiem głosu odpowiedniego — by tę rolę należycie oddać.

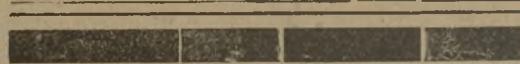
Jest to rola dla Edmunda Rygera. Po zatem podpadało tak u Shylocka, jak u przyjaciela jego Tubala, u ostatniego więcej, że czcigodni ci Hebrejczycy mówili akcentem żydowskim. Podobno i sławny Królikowski w tej roli go używał. Czy to rzecz właściwa? Trudno rozstrzygać. Nas raziło to jeszcze więcej, jak błędne wymawianie imion włoskich przez większość artystów.

Lecz spieszno nam zakończyć. Dlatego nie będziemy się rozwodzili o grze każdego artysty z osobna, lecz zaznaczymy ogólnikowo, że z bardzo nielicznemi wyjątkami grano słabo i nie zdołano trafić w ton, jaki dramat szekspirowski wymaga. Bardzo blady był sam kupiec wenecki, dobry był p. Junosza, jako ks. Aragonii, również kobiece role w dobrych były rękach.

Całością się nie zachwycaliśmy, lecz, ponieważ nie jesteśmy nie omylni, zaznaczamy, że wiele osób z publiczności nader pochlebnie o przedstawieniu i wogóle grze artystów się wyrażało.

Na koniec zanosimy prośbę do niektórych osób zasiadających na balkonie, by zechciały łaskawie nie wywłaszczać krytyków z ich krzeseł i nie przeprowadzały się z miejsca na miejsce podczas przedstawienia.

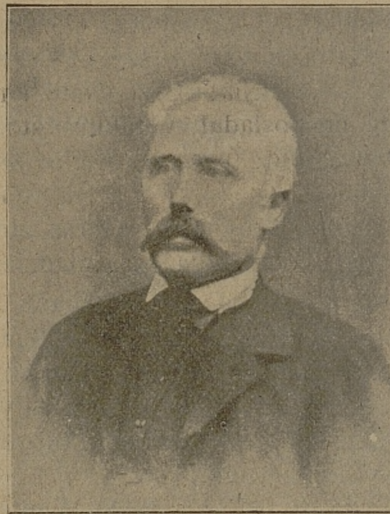
R.



Ś. p. Kajetan Chłapowski.

Coraz bardziej przerzedza się szereg starszego obywatelstwa Wielkopolskiego. Świeżo pokryła mogiła szczątki ś. p. Kajetana Chłapowskiego, który wiernym był synem nieszczęśliwej matki-ojczyzny i szczerym, wzorowym katolikiem. Ostatnie lat kilka mieszkał on w grodzie Przemysława i tu też sędziwego swego dokonał żywota.

Śp. Kajetan Chłapowski, syn Kaspra Kajetana, urodził się w Sulęcinie dnia 6 stycznia 1829 r. Straciwszy już bardzo wcześnie ojca swego, spędził pierwsze lata młodości w Turwi, gdzie generał Dezydery Chłapowski zajął się



† Kajetan Chłapowski.

jego wychowaniem. W r. 1848, mając lat 19, gdy formować się zaczęły wojska narodowe, podążył Kajetan Chłapowski wraz z innymi towarzyszami wprost z poznańskich ław gimnazyalnych do obozu. Poryw ten patryotyczny przypłacił więzieniem pruskiem. Uzyskawszy następnie wolność, osiadł na roli najpierw pod Pleszewem, a później pod Ostrowem. Tu oddawał się pracom obywatelskim, służąc Ojczyźnie w miarę sił i sposobności. W roku 1863—4 brał udział w miejscowym komitecie, niosąc pomoc walczącej za kordonem braci. Szczęśliwym był teraz, bo choć towarzyszów spotkała znów kaźń, on jednak, dziwnym przypadkiem, nie został uwięzionym. Sprzedawszy posiadłość swoją w Zembcowie księciu Radziwiłłowi, przeniósł się, w latach późniejszych, ze względu na skołatane już zdrowie, do miasta, najpierw do Ostrowa, a następnie do Poznania, gdzie pochował w r. 1902 wierną towarzyszkę doli i niedoli tj. małżonkę swoją. Śp. Kajetan Chłapowski zamknął linię swoją, t. zw. młodszą czerwonowiejską, tak jak małżonka jego Marya z Łukaszewiczów ostatnią była u nas przedstawicielką rodziny Łukaszewiczów, która z Rusi przeszczepiona do Wielkopolski, wydała z siebie zasłużonego historyka Józefa, autora wielu dzieł naszych, a mianowicie też najlepszego dotychczas opisu miasta Poznania. Z małżeństwa tego, jako też z żony poprzedniej, Weroniki Cetkowskiej, pozostały tylko córki.

* * *

Ś. p. Kajetan Chłapowski spisał uwagi osobiste, odnoszące się do wypadków w r. 1848. Zainteresują one naszych czytelników, dla tego kilka z nich podajemy wyjątków:

Rok 1848 pamiętny jest w dziejach naszych. Burza polityczna, jaka się ujawniła w Berlinie, ten dobry dla nas miała skutek, że więźniów polskich, osadzonych w berlińskiem więzieniu „Moabicie“, z powodu wypadków w r. 1846, nietylko wypuszczono, ale im nawet dano broń do ręki, z wyraźnem zezwoleniem na organizacyę narodową. Wieści o tem rozeszły się lotem błyskawicy nietylko w stolicy Wielkopolski, tj. mieście Poznaniu, ale po całem Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Szły najpierw słuchy z ust do ust, pomiędzy starymi i młodymi, że nastał czas swobody i wolno teraz tworzyć wojsko narodowe. Wkrótce wiadomości nadeszły dokładniejsze, a w ślad za niemi pojawiło się w mieście Poznaniu kilku dawnych wojskowych i najwybitniejszych obywateli, którzy osobiście zająć się mieli organizacyą. Potworzyły się w tym celu komitety narodowe, na których czele stał komitet główny poznański. W Poznaniu też niezwłocznie porobiono starania do utworzenia obozowiska polskiego.

(Dokończenie nastąpi.)



Wiec

agitacyjny oddziału Koźmińskiego, Towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholicznych odbędzie się 6-go grudnia r. b. o godz. 4-tej po południu na sali pana Karasiewicza „Hotel du Nord“ w Koźminie. Niechaj każdy dbający o swoje zdrowie i życie, i szczerze kochający swoją Oj-

czyznę, pospiesza na ten wiec, ażeby dowiedzieć się jakie klęski zadaje alkohol nam i naszemu społeczeństwu.

Prosi o jaknajliczniejszy udział z hasłem: Przyszłość nasza!

Komitet.

Obrazek z krainy łez i niedoli.

Było to w czwartek w południe. W małym, schludnym domku blizko miasta Hamm stała przy ognisku młoda kobieta i mieszała zupę. Posiłek był już prawie gotów.

Mały, jasnowłosy chłopczyk pełzał na progu między kuchnią a izbą mieszkalną i był zajęty zaprząganiem małego drewnianego konika.

— Zobacz, Waluś, czy tata nie idzie, — rzekła matka i mały grubasek, rzuciwszy drewnianego siwka, pokołysał się na drogę, by przyprowadzić ukochanego tatusia. Zna on dobrze tę drogę, bo wychodzi na nią co południe, gdy tatuś wraca z kopalni.

Wtenczas wąsaty górnik podnosi malca w górę, całuje go serdecznie i usadziwszy na ramieniu, spieszy do matki z swym miłym ciężarem. Teraz nie spotkał ojca zaraz, ale skręcił śmiało na dróżkę, którą tatuś wracał zwykle.

Biedny chłopczyno! Napróżno się trudzisz — tatuś już nie wróci! W szybie Radbod leży on głęboko pod ziemią, trzydzieści razy tyle, co wieża kościoła. Pracował on tam, aby twoja matuś miała za co ugotować zupę dla ciebie, dla siebie i dla niego, aby inni ludzie mieli węgle do ogrzania się, aby na ulicach gaz mógł się palić i oświecać drogę. Biedactwo kochane, już nie zobaczysz tatusia, który leży głęboko pod ziemią razem z wielu, wielu innymi nieszczęśliwymi! Już cię on nie ucałuje, już nie zobaczy twych błękitnych, jak niebo, ocząt, które kochał, jak swoje słoneczko, do którego zawsze tęsknił, gdy pracował pod ziemią.

Matuś ostatni raz dziś gotowała dla niego — nie zasiądzie on już z wami do jednego stołu i bodaj, czy będzie dla was potem coś do ugotowania! A także Władzia sąsiada, która w tej chwili tak biegała, pędzi do Radbod, aby powitać ojca i brata swego Franusia, którzy także muszą nadejść z szybu. Spieszy ona także — pewnie jednak najwięcej dla tego, aby „przypadkiem“ spotkać Jaśka, co to niedawno temu przyjechał na obczyznę od Gniezna i tak ładnie umie opowiadać o rodzinnych stronach.

Rodzinne strony! Toć i ona ztamtąd rodem i kocha je, jak szalona. Wzdycha biedactwo do tego powietrza, tych łąk i pól, słowem do tej ziemi ojców, gdzie ujrzała światło dzienne. Właśnie dziś jej się śniło, że Józek został sztygarem i chciał ją zawieść do gniazda Lecha, by w prastarej katedrze kapłan ich połączył na wieki.



Od lewej strony ku prawej: **Lewandowski, Pilgrim, Kühn. Deputacya górników z Hammu, wydelegowana do księcia pruskiego Eitela Fryderyka.**

Sen mara, Bóg wiara! Nie, Władziu, Józek już nie zostanie sztygarem. Właśnie, gdy dojdziesz do szybu II., gdzie ku twemu zdumieniu zastaniesz tylu mężczyzn, kobiet i dzieci płaczących i narzekających głośno, wyniosą go na drabinie. Leży na niej blady, okrwawiony, nieżywy!...

Zapominając o serdecznej tajemnicy swojej, rzucisz się z krzykiem na jego zwłoki i ucałujesz go po raz pierwszy i ostatni!

Ale ojca i Franka już nie zobaczysz nigdy! Teraz będziesz musiała sama jedna troszczyć się o chorą matkę i drobne siostrzyczki i dostarczać im chleba...

Trudno pisać dalej. Obraz zbyt jest okropny, rozpaczliwy, beznadziejny!

Na ziemi nędza i rozpacz — pod ziemią śmierć i pożar. Na ziemi jest jeszcze ratunek w pracy i modlitwie — z pod ziemi już nikt z ukochanych nie wyjdzie żywo! Matko Miłosierdzia! ulituj się nad nimi!

St. Kantecka.

Jeszcze raz przypominamy Szanownym Czytelnikom o składce, którą otworzyliśmy na korzyść pozostałych po ofiarach strasznej katastrofy w Hamm.

Dotąd złożono u nas:

Wydawnictwo „Praca“ 20 mrk.

P. St. Offierski 25 egz. powieści pt. „Dwie Marye“ wartości 18,75 mrk.

Maryś, Kaziu i Staś Ruczyńscy razem 3 mrk.

J. B. R. 50 fenygów, Szmytkowski W. 1 mr., Skowrońska 50 fen., J. K. 50 fen., Skiba 30 fen., Zarembski 25 fen., Cybiński 30 fen., Zientek 25 fen., Golus 25 fen., Wietrzyński 50 fen., Banach 30 fen., Szymańska 50 fen.

Zachęcamy do zakupywania ofiarowanej na powyższy cel przez p. St. Offierskiego powieści p. t. „Dwie Marye.“ Cena 75 fen.

Dotąd nabyli po jednym egzemplarzu:

P. Kaźmierska z Jutrosina.
M. Krumpholz z Röklinghausen.
S. Donaj z Jarocina.
K. Śmigielskik z Chabska.
N. N. z Poznania.

Odezwa
do wyborców Polaków w okręgu babimojsko-międzyrzeckim.

Polski Centralny Komitet Wyborczy zawarł z katolicką partyą centrową kompromis przy mających się odbyć dna 12-go grudnia r. b. wyborach uzupełniających do parlamentu niemieckiego w okręgu babimojsko-międzyrzeckim.

Mocą tego układu zobowiązali się Polacy przy obecnych wyborach uzupełniających nie stawiać własnego kandydata poselskiego, tylko od razu w pierwszym pochodzie dnia 12-go grudnia r. b. głosować na kandydata centrowego, którym jest za wspólną zgodą

ks. proboszcz Roenspiess z Kaszczoru.

W zamian za to zobowiązała się partya centrowa przy przyszłych wyborach parlamentarnych do takiej samej pomocy na korzyść kandydata polskiego. Wybór okręgu, w którym z tej pomocy korzystać będziemy, zależeć będzie od uznania Polskiego Centralnego Komitetu.

Podając ten akt naszej najwyższej władzy wyborczej do wiadomości, wzywamy jak najusilniej nasze komitety wyborcze w powiatach babimojskim i międzyrzeckim, żeby agitacyą wyborczą jak najgorliwiej się zajęły, zaś wyborców naszych w okręgu babimojsko-międzyrzeckim prosimy gorąco, żeby mężom zaufania służyli chętną pomocą a w dniu wyborów — dnia 12-go grudnia — bez wyjątku głosowali na

księdza proboszcza Roenspiessa z Kaszczoru.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes. *Ks. Wawrzyniak*, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *M. Więckowski*, skarbnik.
Julian Brzeski. Władysław Grabski.
Ks. Mojzykiewicz. Dr. T. Szułdrzyński.

W czasie teraźniejszych zamieszek na Bałkanie zwracamy uwagę na dzisiejszy anons p. Waniorka, Poznań, Strzelecka 19 I l., *o nieznanej tu muzyce* bałkańskich narodów.